



"Truskawkowa niedziela" okiem Stefana Pastuszewskiego

, Poniedziałek, 15 Października 2012



"Truskawkowa niedziela" Fot. Dariusz Bloch

Niemieckie pieniądze, proniemiecka wymowa

Nie jest to sztuka antypolska, tylko proniemiecka. Już przez sam fakt wypreparowania z wydarzeń II wojny światowej tylko jednego wydarzenia, które chluby Polakom nie przynosi. (Cytat ze sztuki: „Odebrało ono Polakom niewinność ofiar.”). Wprawdzie anonimowy dyrektor projektu pojednania i przyjaźni prosi, wręcz błaga, aby

choćby tylko pamiętać, że między pierwszym września (napaść Niemiec na Polskę) a piątym września (początek rozstrzeliwania Polaków przez oddziały Wehrmachtu) był jeszcze trzeci września, *aby uznać, że to się zdarzyło, tylko tyle* (dywersja niemiecka wywołująca brutalny i ślepy odwet Polaków, zwany *Krwawą Niedzielą*), to jednak zarówno te graniczne daty, jak i całe pięć lat niemieckiego terroru w znacznej części Europy to zbyt poważny kontekst owego bydgoskiego absurdu i wstydu, aby sprowadzić go do podręcznikowych zapisów. Bo *Mieszko Szmit* (**Piotr Stramowski**), luzacki przedstawiciel trzeciego pokolenia od tych wydarzeń, cytuje tylko zasłyszane i wycytane słowa, sam zbyt nie przeżywając ani dramatu swego dziadka *Kazimierza* ani dramatu narodu polskiego. „*To nie jest ważne, wojna*” - mówi.

Proniemieckie światło pada już od samego początku na bydgoską scenę, na której 13 października 2012 roku odbyła się premiera „*Truskawkowej niedzieli*” w wykonaniu połączonego zespołu *Teatru Polskiego* z Bydgoszczy i *Landesbühne Nord Niedersachsen* z Wilhelmshaven. Adolf Hitler w Gdańsku rekapitułuje (nagranie +obrazy filmowe) wojnę niemiecko-polską z września - października 1939 roku. Prowokacyjnie zaczyna od pochwały męstwa prostego żołnierza polskiego, szydząc natomiast z dowództwa, rządu, ale przede wszystkim eksponując przejawy barbarzyństwa po stronie polskiej. Oczywiście, że chodzi tu przede wszystkim o *Bromberger Blutsonntag*, bowiem to fatalne wydarzenie stało się pretekstem do praktykowania przez Niemców na wszystkich frontach bezprecedensowego barbarzyństwa przez całe pięć lat wojny. Ta tyrada szalonego Führera zaciążyła na całej fabule wspomnianej sztuki.

Słowo po słowie, krok po kroku odsłania się krwawa tajemnica *Kazimierza Szmita* (**Roland Nowak**):

Będąc polskim harcerzem, drągiem zakończonym gwoździem zaciukał niemieckiego rówieśnika, który na swój sposób też „*czyścił Bydgoszcz*” oraz niemiecką kobietę. („*Ach, jak ona krzyczała!*”).

A. Hitler organizację wojny obronnej 1939 roku nazwał szyderczo „*polską*”, a *Anna* (**Julia Blechinger**), tłumacząc poparcie udzielone faszystom przez bydgoskich Niemców tęsknotą za niemiecką ojczyzną, którą była tu do 1920 roku („*I nagle stała się tu Polska*”). Niedwuznacznie nazywa Polskę („*Co to za dziwne słowo, Polska!*”) - chlewem (- „*Nazwijmy*

ten kraj Chlewem”). (Rzeczywiście, Niemcy nazywają Polskę chlewem, ale jeszcze większym chlewem jest Rosja, ale nie brzydzą się z nią pozostawać dziś w bliskich kontaktach i rozgrywają razem Europę).

Proniemiecka wymowa „*Truskawkowej niedzieli*” wynika też z faktu nierównowagi między ekspozycją walorów przedstawicieli obu nacji. Współczesny młody Polak, czyli *Mieszko Szmit* (**Piotr Stramowski**) jawi się jako kabotyński pseudo-narodowiec, tłumaczący, że jego nazwisko jest czysto polskie, a nawet szlacheckie. To on w jakiejś sztubie w Wilhelmshaven urządza historyczną scenę ze śpiewem „*Polen, Polen, überalles*”, a jego dziadek *Kazimierz* (**Roland Nowak**), stając w obronie wnuka, wyciąga zardzewiałego *visa*. Mieszko, zafascynowany urodą i inteligencją tłumaczki *Dory* (rewelacyjna kreacja **Kathrin Ost** w bardzo trudnej, dwujęzycznej roli, nie znając języka polskiego 80 procent tekstu wypowiada w tym języku), wmawiającej jej, że jest *ukrytą Polką, a na imię ma naprawdę Dorota*. Typowy kompleks polski, z którego tak kpią na Zachodzie!

Role Niemców, a raczej Niemek są bardziej szlachetne i mądre. Egzaltowana, tkwiąca w poetyckim świecie *Anna* (**Julia Blechinger**) z filozoficzną równowagą reaguje na nieoczekiwane zwroty akcji, w tym dramatyczne wyznanie *Kazimierza Szmita*. *Dora* jest jeszcze bardziej szlachetna, bowiem poszła na polonistykę zafascynowana mitem *świętych Polaków, błogostawionych ofiar*. Szczerze chce pomóc tym nieszczęsnym *Polaczkom* wykaraskać się z opresji spowodowanej owymi ekscesami w sztubie. Nie brzydzi się głupkowatym *Mieszkiem* i pozytywnie reaguje na jego wyznanie miłosne (świetna scena kobiecego całowania). Mówi bardzo mądrze: „*Nasza przyszłość ma przeszłość*” i bardzo szczerze przeprasza za cały ogrom niemieckiego barbarzyństwa, choć przecież jako przedstawicielka trzeciego pokolenia wcale nie musi, co oczywiście przypomina jej dobruśny i emocjonalny *Mieszko*.

Nie było zamiarem twórców „*Truskawkowej niedzieli*” analizować z perspektywy historycznej wydarzeń 3 września 1939 roku. Nie odpowiedzieli na pytania o winę, nie wskazali ofiar i katów. I dobrze. Niedobrze jednak, że wprowadzili do biografii *Brombergerów*, niezgodnie z historycznymi faktami, niemiecką propagandową kategorię *wypędzonych*. Rzeczywiście, Niemców po II wojnie światowej wypędzali zarówno Polacy jak i Czesi, choć proceder ten miał pełną akceptację aliantów, to jednak w żaden sposób nie dotyczy to Bydgoszczy. Sami znad

Brdy i Wisły zmykali pieszo i na wozach mroźnym styczniem 1945 roku na wieść o zbliżaniu się *barbarzyńskiej Armii Radzieckiej*.

Asymetria wymowy spektaklu ma miejsce nie tylko we wzajemnych animozjach i antypatiach, ale także w fascynacjach. Niemcom w zasadzie niewiele w Polsce, oprócz świetnych ciastek, w tym *rogali marcińskich* się podoba. Fascynują są jedynie swoją *Heimat* na polskiej ziemi. Polakom zaś, szczególnie dziadkowi *Kazimierzowi*, imponuje *piękny niemiecki język oraz literatura*. Aż do utraty kontaktu z rzeczywistością zwiedzał muzeum J.W. Goethego w Weimarze. *Mieszko* natomiast z młodzieńczą pasją wymienia nazwy *wypasionych* niemieckich narzędzi zabijania. Jak dziecko cieszy się, że potraktowali normalnie, a nawet życzliwie jego waletowanie w luksusowym hotelu. „*Zaproponowali nawet spełnienie życzeń swoich gości*”.

Proniemiecka wymowa „Truskawkowej niedzieli” wydaje się być rezultatem polskich zaniedbań, safandulstwa wręcz, bowiem Niemcy na pewno w tym projekcie, który z punktu widzenia politycznego był im bardzo na rękę, nie doprowadziliby do kryzysu, gdybyśmy postavili swoje warunki.

Jeśli reżyserka **Grażyna Kania**, na stałe mieszkająca w Berlinie, podczas rautu premierowego publicznie ogłosiła, że *podczas wspólnej pracy nad sztuką nie było żadnych konfliktów*, to znaczy, że nie zadbała o coś, co nazywa się górnolotnie *polską racją stanu*. Bo przy analizowaniu tak trudnych i subiektywnych problemów konflikty są przecież nieuniknione, rzecz tylko w sposobie ich rozwiązywania. Niemcy zapłacili za znaczną część projektu (Kulturstiftung des Bundes, Wunderlust Fond), warsztat pisarsko-traslatorski założono w Berlinie, więc i taki mamy efekt. Szkoda, bo odważne sięgnięcie po przemilczany bądź tylko jednostronnie naświetlany, ale jakże bolesny dla ofiar i oprawców, problem bydgoskich wydarzeń z 1939 roku, wymagało większej staranności i powagi. A tu współautorka scenariusza **Katharina Gericke** pisze o „*najweselszych i najbardziej kolorowych*” doświadczeniach we współpracy z **Arturem Pałygą** (współautor) i **Iwoną Nowacką** (tłumaczka i kuratorka projektu). Atmosferę rekonstrukcji, bo przecież wiele tu było rekonstrukcji, choćby świadomości uczestników krwawych wydarzeń z 1939 roku, najlepiej oddaje poniższe zeznanie Niemki: „*Z dyktafonu rozbrzmiewają śmiechy, rozbrzmiewają dwa języki, trzy głosy, skrzypienie desek mojej starej podłogi, potem znów śmiech i dzwonięcie kieliszków przy toastach*”. No

cóż, można i tak po 73 latach podchodzić do życiowych dramatów swoich dziadów.

Dyrektor *Teatru Polskiego* **Paweł Łysak** twierdzi, że teatr ma ten przywilej, że może wzruszyć problem, ale go nie rozwiązywać. Prawda, tylko, że wzruszenie problemu związanego z ludzką śmiercią i, splątanymi przez czynniki zewnętrzne biografiami, powinno odbywać się w atmosferze powagi i delikatności w stosunku do ludzkich życiorysów, a nie wśród salw śmiechów i „*dzwonienia kieliszków przy toastach*”. Oczywiście, że jedynym ze sposobów *oswojenia śmierci*, może być *wisielczy humor*, ale zasadne jest to raczej w przypadku bezpośredniego zetknięcia się ze śmiercią, przede wszystkim swoją, a nie podczas - jakby na to nie patrzeć - historycznej rekonstrukcji tragedii dwóch narodów. **K. Gericke** wykazała się typowo niemiecką, rubaszną gruboskórnością, wciągając w ten odmet, naiwnych, ugrzecznionych Polacken.

Abstarachując od fundamentalnej wady „*Truskawkowej niedzieli*”, jaką jest **brak równowagi w wymowie ideologicznej** (trudno inaczej, bardziej po ludzku nazwać ten element dramatu) trzeba podziwiać gęstość treści. Nagromadzono w niej tak dużo wzajemnych, nawarstwiających się przez lata, relacji Polacy-Niemcy, że w drugiej części sztuki dochodzi do *mnogogłosija*, czyli równoległych dialogów obydwu polsko-niemieckich par. Widz nie wie co śledzić, gubi się, oprócz *oczopląsu* pojawia się *woda w mózgu*, ale o to chyba chodziło. Rzeczywiście, relacje polsko-niemieckie są tak skomplikowane i tak niejednoznaczne, że nikt nie jest w stanie powiedzieć ostatniego słowa. Niczyje też nie jest na wierzchu. Ta eskalacja słów i problemów kończy się bardzo trywialnie i po ludzku filmowymi wspominkami, *jak to miło było być sąsiadami w przedwojennej Bydgoszczy*. „*I nagle coś zdechło*”

Bardzo dobra to kulminacja dramatu.

Trzeba jednak wspomnieć o pewnej wadzie kompozycyjnej. Jest nią aplikacja dwóch poetycko-symbolicznych tekstów „*Podróż Elsy. Chwila na wieczność*” **Kathariny Gericke**, z którą męczyła się, a przez to wiele straciła na klarowności swojej roli, bardzo doświadczona aktorka **Julia Blechinger** oraz - jakby w odpowiedzi, *aby nie być gorszym* - skądinąd świetna, ale też bez wyraźniejszego związku z całością, przypowieść „*Pokaż rany*” **Artura Pałygi**. Obydwa kawałki są, jakby ni przypiął ni przytątał w realistyczno-refleksyjnym tekście dramatu. No, ale taka,

collage, maniera zapanowała przed kilkoma laty w bydgoskim *Teatrze Polskim*.

Jeśli idzie o kunszt aktorski, to lepszy bardziej, rzetelny, nie tylko pod względem rzemiosła warsztat (utrwalająca się w pamięci widza szczera emocjonalność **Kathrin Ost**, zbiegająca się z jej fascynującą kobiecością) zaprezentowała strona niemiecka. Artykulacja, zarówno niemiecka jak i polska była bardzo dobra, z wyjątkiem, jakby *mruczenia pod nosem*, ale tego chyba wymagała jego introwertyczna rola, **Rolanda Nowaka**. Scenografia (**Stephan Testi**) - skromna i jakby banalna: posąg Łuczniczki odwrócony tyłkiem do publiczności oraz kontury dachów i ścian bydgoskich kamienic. Skądinąd trudno jednak wymagać czegoś ciekawszego, bogatszego, skoro był to typowy *teatr słowa* (wreszcie w Bydgoszczy!).

Nieźłym chwytem kompozycyjnym, obnażającym bebechy teatru, co od czasów Jerzego Szaniawskiego jest w wielu teatrach wręcz ekshibicjonistyczną obsesją, jest ulokowanie na scenie pod postacią suflerki **Iwony Nowackiej**, która odegrała też niebagatelną, bo spinającą rolę w realizacji całego projektu (nagroda?). Przesuwana niczym mebel przez aktorów, trzymając na kolanach scenopis, z uwagą śledzi przebieg akcji, zupełnie jakby pilnowała, czy wszystko biegnie właściwym kursem. Jej rolę można przyrównać do roli cenzora, albo...kapo. Interesująca to wieloznaczność.

Ostatecznie mamy na bydgoskiej scenie coś, o czym można mówić, tylko, że kto będzie mówił, skoro podczas premiery sprzedano jedynie pięć programów, a stała, czyli licealna część bydgoskiej publiczności żywo reagowała jedynie na kabotyńskie witze. Nagradzana to ostatnia scena, ale *na mieście*, czyli w *kraju* mówi się z przekąsem, że *teraz w Polsce, nagradza się spektakle, których nikt nie ogląda*.

Teatr w Polsce przeżywa poważny kryzys, także w grodzie nad Brdą i Wisłą.

Stefan Pastuszewski

R e k l a m a



drukuj